

Adam Szymański.

S Z K I C E.

Tom I.

Wydanie drugie.

PETERSBURG.
Nakładem autora.

—
1890.

Дозволено цензурою. С.-Петербургъ, 17 Мая 1890 года.

Типографія Р. Г о л и к в. С.-Петербургъ, Екатерининскій каналъ, 166.

I.

Szul z Lubartowa.

1*

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość że było, a było w Jakucku w początku listopada, w kilka jakos miesięcy po moim przyjeździe do tej stolicy mrozów.

Cieplomierz spirytusowy Reaumura wskazywał 35 stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które, jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znaczyły swój protest cichy przeciw aklimatyzacji przymusowej, a dziś właśnie miały być wystawione na przydłuższą próbę. Groziła im ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonji, kurp', Piotr Bałdyga i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią usługę: złożyć w ziemi zamarzłej jego sterane kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka—trupiarnia.

W tej to trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi, weszliśmy i wewnątrz na całej naszej garstce przykre wywarło wrażenie; było nas z dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowoli spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu, ani stołka, nie okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i aby łatwiej je włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi, ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którą ujrzałem teraz w świetle dziennym, oczyszczoną ze śniegu. Surowe oblicze nacechowane było dziwnym jakimś, nieopisanym, bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko ku mroźnemu, surowemu, niebu.

— Zmarły był chłop zacny, — opowiadał mi tymczasem jeden z sąsiadów, widząc wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi, — zawsze był zdrow i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych; tylko że to i uparty był, jak kurp', więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak, przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne sanki jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała

donośnie: «Witaj Królowo nieba w smutku i radości», podtrzymując ją urywanymi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana, kupka ziemi świadczy o niedawnym jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielkiem; po roku, dwóch, wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie, i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie mróz stęzał jeszcze. Po drugiej stronie dość wąskiej ulicy, na której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku: gęsta mgła śnieżnych krzysztalów, jak chmura, nawisła nad ziemią. Z po za mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale, chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomierne od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk, rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion lub pękającej szerokimi szczelinami ziemi, to podobny do jęku, żalony śpiew jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy

jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędział, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to napróżno, że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga, jak na jawie, coraz częściej stawał przede mną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą; robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo wypadło z ręki i myśl nieposłuszna wyrywała się daleko po za granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżnom odwoływał się do mego rozsądku, napróżnom powtarzał sobie po raz dziesiąty rady lekarza; dotąd, trawiącej mnie od kilku tygodni, chorobie stawilem jaki taki opór, dziś czułem się zupełnie obezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mnie, trawiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć się ułudnym marzeniom, czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejszą, i ja sam słabszy niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi, precz rzeczywistość jakucka! Rzuciłem pióro i otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

Więc i poniosłaż mnie swywolna!...

Przez tajgi i stepy, góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone, pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przedemną czary prawdziwe: nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękna i harmonji pełne, moje niwy nadbużne. Ustom mym dziś nie opowiedzieć, pióru nie opisać tych czarów!

Widziałem łąny pozłociste, łąki szmaragdowe, lasy starce, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosisłych, gwar bożych piewców skrzydlatych, howor dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich, krasą wiosny — fijołkiem niewinnym.

... Każdy mój nerw czuł muskanie powietrza rodzinnego... Czulem ożywcze działanie promieni słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wścieklej i coraz groźniej szczyrzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapalała głowa i jak zaklęty, zapatrzony, zasluchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic około siebie...

* * *

Nie widziałem i nie słyszałem, jak drzwi się otwarły i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębow pary, buchających tu za każdym drzwi otwarciem w takiej ilości, że wchodzącego i nie dojrzysz odrazu; nie czulem zimna, które z jakąś beczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby; nie widziałem i nie słyszałem nic i dopiero, gdym poczuł blisko siebie człowieka, wprzód zanim go dojrzałem, mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytanie:

— *Toch nado?* *).

*) Co potrzeba; pierwsze słowo—jakuckie.

— To ja, proszę pana, z *mieloczem torguju* *) —
brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przede mną, pomimo wpakowanego nań przeróżnego ubrania, skór bydlęcych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy, żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nietylko w jakuckich, lecz i w patagońskich skórach. Poznałem go przeto odrazu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu prawie bezwiednie, więc żyd, stojący teraz przede mną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie, nie był dlań kontrastem zbyt przykrym. Przeciwnie. Z pewną przyjemnością wpatrywałem się w znajome mi rysy; zjawienie się żyda w chwili, gdy myślałem i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaskały ucho. W pewnym tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem się mu przyjaźnie.

Żyd powstał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom i pospiesznie zaczął ściągać z siebie przeróżną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, że mu nic nie odpowiadał i że domyślny współziomek, wytłomaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce mi rozłożyć swój towar. Pośpieszyłem wyprowadzić go z błędu.

— Bój się Boga, człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba, nie rozbieraj się napróżno i ruszaj z Bogiem dalej!

*) Drobiazgiem handluje.

Żyd przestał się rozbierać i pomyślawszy chwilę, wlokąc za sobą napoły ściągniętą dochę *), zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i bezładnie tak mi prawie zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, że się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukałem pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu mróz taki, niech go diabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko...

— Cóż ty chcesz odemnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie po to, aby «pogadać trochę» z człowiekiem niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszymi: bywali i prości ciekawscy i gadulscy, bywali i ludzie, którzy o krewnych tylko pytali, bywali i politycy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi, polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc, powtarzam, żądanie nowego przybysza i chociaż radbym był uwolnić mą chatę co prędzej od

*) Odzież wierzchnia zimowa. Zwykle ze skór podwójnych sierścią na wierzch i wewnątrz zszyta. Dochy szyją się ze skór jelenich, biedniejsi noszą bydłęce.

nieprzyjemnego zapachu, źle zwykle wyprawianych, bydłych skór dochy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd widocznie ucieszony, po chwili już siedział koło mnie i teraz mogłem mu przyjrzeć się uważniej.

Wszystkie najordynarniejsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, pałkowaty, trochę na bok zakrzywiony nos, i przenikliwe, jastrzębie oczy, i broda klinowata, barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło niskie, grubym włosem okolone, wszystko to posiadał mój gość, lecz, rzecz dziwna, wszystko to, razem wzięte, być może, skraszone wyrazem twarzy znędzniałej, tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, z kąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć odemnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa, może pan dobrodziej wie, to zara kiele Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko, dawniej i ja tak myślałem, ale teraz, dodał z przyciskiem, to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blisko, zara kiele niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bez mała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie, są tacy co po 20 lat przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszka z Wilna, co blisko 50 lat tu mieszka; ci rzeczywiście są dawno. Ale żyd mnie ofuknął:

— Jak oni, to ja nie wiem, ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje?

— I z żoną i z dzieckiem—z córką; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem, ale to podróż taka, niech Bóg zachowa, szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci odrazu mi umarło, w jednym tygodniu, to jakby odrazu. Troje dzieci?! łatwo powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam nie ma... Ja husyt jestem, dodał ciszej, pan wie, co to znaczy... zakonu pilnuję... i Bóg mnie tak karze...

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takim położeniu trudno już o tem myśleć, wszystko to jedno przecie, ziemia boża wszędzie, starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył jak oparzony.

— Boża! jaka boża! co za boża! co pan mówisz? To psia ziemia! Tfu! tfu! Boża ziemia? Nie mów pan tak, wstydz się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? To przeklęta ziemia! Bóg nie chce, żeby tu ludzie mieszkali: żeby On chciał, nie byłaby taką. Przeklęta, podła! Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętymi ustami, skurczonymi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł, na stolku koło mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religję i narodowość, nie lubią Syberyi; widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzić połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przy-

szedł do siebie, prędko owładnął wzruszeniem, i gdym po chwili spojrział mu w oczy pytająco, odpowiedział mi natychmiast:

— Niech pan daruje, ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? to już tacy, jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje. Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu już skończyć, postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem to on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słyhać, panie. Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyzałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie, nie mogę ci przecież opowiedzieć odrazu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje, polityka może?

Żyd milczał.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, nie rozumiejąc samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie, ze względu na wielokrotne powtarzanie, opowieść o politycznem położeniu Europy, naszym i t. d. ale żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to cię nie interesuje? zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem—odparł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi, pewno chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, jak mnie.

— Słusznie. W takim razie pewno chcesz wiedzieć, czy życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, poczemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nie dostać nie można, choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi?

— Kiedy ja nie wiem, proszę pana, jak to powiedzieć. Widzi pan, ja tak nieraz miślę, miślę, że aż Ryfka, to moja żona tak się nażywa, pyta się: «Srul, co tobie?» A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest. Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie?— dodał, jakby badając, czy i ja zeń śmiać się nie będę.

Ale ja się nie śmiałem. Byłem zaciekawiony: widocznie gniotło go coś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał i wypowiedzenie czego w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejszym. Aby dopomóc mu, uspokoiłem go, żeby się nie spieszył, że robota moja niepilna, nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął taką rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letnim ubraniu.

— Nu, patrz pan? A tu mróz!

— Cóż to zapomniałeś czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone? radość błysła w oczach Srula — a tak, tak zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem o co mu chodzi; chcąc się jednak upewnić, milczałem; żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem—tłómaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy—to jest białe takie, jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?...

— Fasola?

— A to właśnie! Fasola, fasola—powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest i dużo, a tu czyż niema?

— Tu! Bez całej trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem, tu groch taki, co u nas, z przeproszeniem tylko... tylko...

— Świnie jedzą — odpowiedziałem.

— Ny tak! tu na funty sprzedają i to nie zawsze dostać można.

Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to że lubię, ale to właśnie, ja sobie tak nieraz miślę o tem, bo to ładnie przecie, nieprzymierzając, jakby lasek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz—zaczął znowu—teraz, niech mi pan powie, czy w zimie są u nas jeszcze małe, ot takie—i na palcu pokazywał—szare takie ptaki? także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało modłę się koło okna, a tego maleństwa, jak mrowia się nazbiera. No, ale ktoby tam na nich patrzył? Wie pan co, nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę!? Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tembardziej nie może wytrzymać, ale u nas pewnie są jeszcze? Ny, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem, nie wątpiłem dłużej, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę; niespodziane takie znalezienie współkolegi cierpienia rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam z kolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twojej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył, chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?...

— O tak, panie, tak, panie! po to tu przyszedłem... i ścisnął me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!...

I słuchał mnie Sruł, cały w słuch zamieniony, z otwartymi ustami, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wyrывał mi słowa, chwytając je spragniony i kładł głęboko, na dnie swego serca gorącego... kładł tam, nie wątpię, bo gdym kończył swą opowieść: «*O weh mir, o wej mir!*» zajęczał żyd boleśnie, zatrzęsała się broda ryżna i łyzy duże, łyzy czyste, potoczyły się po znędzniałej twarzy... I długo szlochał chasyd stary i ja płakałem z nim razem.

Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie i łez ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zboleiałych. Dotąd jednak, choć to dawno już było, w ciszy nocnej, w czasie nocy bezsennej, często staje mi przed oczyma posągowa, stygmatem bólu wielkiego ożywiona twarz Bałdygi i obok niej zawsze się zjawia żółkła i pomarszczona, łzami czystymi oblana twarz Srula. I gdy wpatruję się dłużej w te widziadła nocne, nieraz, zda mi się, widzę, jak się poruszają drżące i blade wargi żyda i głos cichy, rozpaczliwy szepcze koło mnie: «O Jehowo, czemuś taki niemilosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów?...»

Strielica nad Wietluga
w sierpniu 1885.

donośnie: «Witaj Królowo nieba w smutku i radości», podtrzymując ją urywanymi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana, kupka ziemi świadczy o niedawnym jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zieliskiem; po roku, dwóch, wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie, i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie mróz stęzał jeszcze. Po drugiej stronie dość wąskiej ulicy, na której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku: gęsta mgła śnieżnych krzysztalów, jak chmura, nawisła nad ziemią. Z po za mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale, chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk, rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion lub pękającej szerokimi szczelinami ziemi, to podobny do jęku, żaloszny śpiew jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy